

Jacek Wojciechowski

## Fatalny Rok Dzika

**Streszczenie:** Rok 2019 był dla polskiego bibliotekarstwa fatalny. Zlikwidowano ponad 5000 bibliotek gimnazjalnych, kilkaset publicznych (głównie filialnych) i rozpoczęto likwidację szeregu wydziałowych oraz instytutowych bibliotek akademickich. Za sprawą ustawy Nauka 2.0 nie ma już dyscyplin (są kierunki) **bibliologia** oraz **informatologia** oraz prawie wszystkich instytutów z tych byłych dyscyplin; nie ma już też bibliotekarzy dyplomowanych. Po „otwarciu” zawodu nie ma w Polsce żadnej znaczącej formy kształcenia bibliotekarzy. Natomiast niemało bibliotek, na własną rękę, unowocześniło i zaktywizowało oferty dla użytkowników. Zaś ewidentnie doniosłym dokonaniem jest kreacja przez Bibliotekę Narodową cyfrowej biblioteki **Polona**. Jednak ogólna sytuacja bibliotek jest zła. W funkcjonowaniu przeszkadza też słabe przystosowanie do wielokomunikacyjności oraz mit paninformacjonizmu, że wszystko jest informacją. Ze strony publiczności żadnego wsparcia bibliotek nie ma. Nie istnieje też żadna własna forma samoobrony bibliotekarzy.

**Słowa kluczowe:** biblioteki szkół wyższych, biblioteki publiczne, biblioteki pedagogiczne, biblioteki szkolne, bibliotekoznawstwo, informacja naukowa, bibliologia

W chińskim horoskopie rok 2019 figurował jako Rok **Dzika** – z przypisanymi mu cechami sprawczymi. Miał być mianowicie okresem właściwym na dokończenie realizowanych zamierzeń. Oraz zawierał przestrożę, że nie powiodą się przedsięwzięcia nowe.

Chińska mądrość prognostyczna odniosła się w pełni do naszego bibliotekarstwa. Liczne biblioteki mianowicie i różne przejawy okołobibliotecznej egzystencji zostały w minionym roku nieodwracalnie **wykończone**. A z kolei jakakolwiek przyszłościowa **nowizna**, jeśli nawet była, to tylko na prawach unikalnych rzadkości i zaskakujących wyjątków. Wcześniej bywało rozmaicie. Ale czasu tak wyjątkowo dla bibliotek kiepskiego jednak nie zapamiętałem.

## Amputacje

Proceder likwidacji bibliotek nie zaczął się wprawdzie akurat w roku minionym, ale uległ nasileniu i nabrał świeżego impulsu oraz nowych parametrów. Wielowariantywnych. Jak szaleć, to szaleć.

Oto w milczeniu i w ciszy przepadło ponad 5000 bibliotek gimnazjalnych. Nikt nawet nie kwiknął. Oczywiście, skoro do kasacji poszły gimnazja. Ale sama dematerializacja w takim wymiarze powinna była jednak wzbudzić jakieś zainteresowanie. Ktoś to gdzieś podłączył, zamknął, spalił, wystawił na wiatry, spożytkował dla celów pożytecznych albo nie? Nikt nic nie wie i nie chce wiedzieć. Już nawet liczba nie robi wrażenia.

Ilościowo znacznie mniej, lecz w kontynuacji było jednak takich przypadków w ostatnich latach, włącznie z minionym, nawet ponad tysiąc: mianowicie likwidacji bibliotek publicznych. Głównie filialnych, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Ale tam też żyją ludzie: tacy jak my. Pozbawiono ich obsługi bibliotecznej w absurdalnym przeświadczeniu, że to zbędny luksus. Jak ktoś się uprze, to

luksusem zbędnym może być nawet papier toaletowy, bo każdy przecież ma palce. W niektórych znanych mi (nie twierdzą, że zaprzyjaźnionych) gminach zauważyłem swoistą w tym zakresie racjonalizację. Otóż panowie wójtowie wzięli się tam za eliminację bibliotek filialnych nie pojedynczo, lecz w trybie kastracji całej gminnej sieci za jednym zamachem. Ten dziabnął od razu cztery filie, tamten nawet siedem: bez bibliotek gminnych, ponieważ nie mogli. A gminne rady przyklasnęły. Nikomu wszak klaskać nie zakazano.

Bibliotek pedagogicznych jest w ogóle znacznie mniej i są tylko w Polsce. Lecz jednak istnieją i wykonują dobrą robotę. Na rzecz nauczycieli i wobec młodzieży. Otóż **sporo** bibliotek pedagogicznych odeszło jednak w niebyt. Na tyle cichcem, że nie wiadomo jak licznie, ale odsetek da się odgadnąć jako znaczący.

Oraz weszła w życie ustawa **Nauka 2.0** – którą w odniesieniu do bibliotekarstwa najlepiej odczytać jako **0:2** – i spowodowała likwidację szeregu akademickich bibliotek instytutowych oraz wydziałowych. Z powtórzeniem epidemii milczenia i ciszy: nikt nic nie wie, nikt nic nie mówi. Należy domniemywać (czy aby na pewno?), że powłączano je w te biblioteczne struktury, które przetrwały. Ale jednak pewna liczba uległa znacznej redukcji – nie zawsze w zgodzie z merytorycznym pożytkiem. Przedmiotowe zakresy były przecież i są rozmaite. Już nie mówiąc o tym, że te nowe, poscalane twory trzeba jednak komponować od nowa. Kto miał do czynienia z czymś takim, ten/ta wie, o czym mówię, a kto nie – nie zrozumie.

## Zerowanie zawodu

Wzmóżona destrukcja sieci bibliotecznych zbiegła się czasowo w Roku Dzika z apogeum (właściwie: z perigeum) zerowania bibliotekarskiego **zawodu**. Ta profesja istniała od dawna i za granicą nadal radzi sobie bez większych obstrukcji, natomiast w Polsce wkroczyła w etap intensywnej degrengolady. Mimo znacznej liczebności, przekraczającej tu (na razie) 60 000 osób. Dużo nas, lecz jakby nikogo nie było.

Cios nokautujący zadała centralna decyzja **otwarcia** tego zawodu dla wszystkich. Ten eufemizm oznacza prawo wykonywania przez każdego, bez żadnych wymagań i barier kwalifikacyjnych. Podobnie otwiera się drzwi do wychodka lub butelkę z piwem. Do roboty w bibliotece wystarczy mieć czystą kiecę.

Wyzerowanie **jakichkolwiek** zawodowych standardów edukacyjnych w sposób *naturalny* zbiegło się z likwidacją bibliotecznych taryfikatorów – umownie zwanych płacowymi, ale u nas po prawdzie to zapomogowymi. No i w tempie zawrotnym, a imponująco sprawnie zgilotynowano pomaturalny system zawodowego kształcenia bibliotekarzy. Który wcześniej budowaliśmy mozolnie przez dziesięciolecia i już osiągnął jakość godziwą. Teraz po systemie oraz po jakości pozostały kości.

Oczywiście kryska przyszła również na kształcenie w tym zawodzie wyższe. Z dwunastu ośrodków uczelnianych, na poziomie instytutów z nazwą **bibliologia**, uchowały się na razie raptem trzy, ale nie wątpię, że tylko do czasu. No bo musiał być jakiś cel w pozbawieniu bibliologii oraz informatologii statusu dyscypliny naukowej i wciśnięciu ich pomiędzy kierunki. To jak zamiana helikoptera na rower. Reszta ośrodków już to uległa skatedralizowaniu, czyli degradacji z poziomu generalskiego na

podoficerski, albo padła całkowicie. Dwa instytuty ostały się (na jak długo?) z przypisaniem do informacji naukowej, ale to już nie jest żadne bibliotekarstwo ani bibliotekoznawstwo. Po tych wielokierunkowych i zamulających świadomości zmianach ewentualny kandydat, który nawet chciałby podjąć studia bibliotekoznawcze w Polsce, nie wyzna się żadną miarą, gdzie mógłby to zrobić.

Ktoś więc tę naszą profesję – na świecie nadal powszechnie potrzebną – u nas wyjątkowo skutecznie popsuł, a właściwie zdemolował. Nie da się zgadnąć, w imię czego. Psujstwo przeważnie jest bezimiennie.

## Koncepcyjny pustostan

A na dodatek, w swojej bezgraniczności psujstwo nie ma sobie równych. Jak ktoś zepsuje powietrze, to śmierdzi dookoła wszędzie. Bez żadnego wyjątku.

Znokautowanie bibliotekoznawczych (bibliologicznych) instytutów ma mianowicie również ten skutek, obok wstrzymania napływu nowych specjalistów, że uległa minimalizacji – a być może całkowitej likwidacji – także polska nauka o bibliotekarstwie, niezależnie od jej praktykowanej nazwy. No bo żeby żyła, musi być uprawiana i to koniecznie w randze dyscypliny (określenie *kierunek* w nauce nie budzi zaufania) oraz nie niżej aniżeli na poziomie instytutów. Tymczasem tak przecież nie jest. No więc na to wychodzi, że w Polsce generuje się z tego niedobra pustka.

W ogólnym ujęciu praktyka powszechna jest taka, że aby jakiś obszar rzeczywistości żył, funkcjonował oraz rozwijał się progresywnie, wymaga wsparcia przez rozumne i przemyślane koncepcje teoretyczne, których dostarcza nauka. Po części globalna, lecz równoległe i w znacznym stopniu rodzima. Uprawiana **produktywnie** w warunkach wyłącznie sprzyjających. Jeśli więc bywa wykopywana na aut, to prędzej czy później zamiera. A w ślad za tym więdnie też praktyka. Od dawna siedząc okrakiem po obu stronach (tej praktycznej i teoretycznej) potwierdzam: więdnięcie daje obustronnie popalić równo.

Kolejny przejaw tego stanu, oczywiście nieprzypadkowy, to odtrącenie w późniebył bibliologicznych periodyków naukowych. Wprowadzona mianowicie resortowa kategoryzacja naukowych czasopism punktowanych – i według punktacji dotowanych lub nie – uwzględniła raptem siedem periodyków biblio-info do punktowania (z najniższym wymiarem przyznanych punktów). Reszta spośród 32 tytułów musi sobie poszukać własnego pastwiska albo najlepiej niech szczytnie. Ten wariant bibliotecznej refleksji został więc prawie całkowicie uduszony.

Nie lepiej ma się sytuacja naukowych monografii z tej branży. Nie dosyć, że jest ich niewiele, to jeszcze do myślenia daje raptem co siódma lub co jedenasta. W tych okolicznościach szanse na wypowiedzi rzeczywiście wartościowe są mocno ograniczone. A już inna sprawa, że nie tylko u nas jest pod tym względem marnie. Śledząc branżową podaż zagraniczną w tym zakresie, dochodzę do przynębiającego wniosku, że bibliologia, a zwłaszcza nauka o informacji (po angielsku razem **LIS**), w swojej produkcji publikacyjnej przeważnie odstaje poziomem od innych nauk i to niekiedy dramatycznie. Okoliczności bowiem wszędzie (w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Wielkiej Brytanii, a także w Rosji, w Czechach, na Słowacji...) nie są sprzyjające. Ale u nas jest chyba najgorzej.

Chociaż i nam trafiają się teksty oraz monografie świetne. W Polsce ostatnio *Encyklopedia Książki*<sup>1</sup> oraz Artura Jazdona *Biblioteka uniwersytecka w Poznaniu. 1918–2018*<sup>2</sup>. Ale kto o tym wie i kto to przeczytał? Nasze środowisko bibliotekarskie należy do najmniej zawodowo czytanych. Monografie przedmiotowych prawie nikt nie dotyka, profesjonalną publicystykę czytuje mało kto, a wręcz bliska zeru jest świadomość, że istnieją jakieś naukowe czasopisma branżowe. Z których wobec tego żadne pożytki nie płyną. No bo jak: bez czytania?

Nic zatem dziwnego, że grzęźniemy w myślowej pustce i rutynie oraz w prognostycznej nijakości. A znowu bibliotekarska bieżąca codzienność jest jak nieosolony makaron albo śledzik bez stu *gramów*. Trwa (na razie), ale nikogo nie cieszy, ani nie ekscytuje.

Dla wzbogacenia pustostanowego obrazu dopowiem, że w aktualnych okolicznościach wystąpił jeszcze jeden objaw nihilizacji naszego bibliotekarstwa. Oto właśnie ulega kasacji elita bibliotekarstwa akademickiego, mianowicie **bibliotekarze dyplomowani**. Byliśmy (mam taki papierek: starszy kustosz dyplomowany) dla kogoś jak wrzód na dupie, no więc odtąd już nas nie będzie. Lepiej? Nie boli? W innych krajach tacy nadal są i nawet ceni się ich wysoko, ale nad Wisłą i Przemszą nie. Nie musimy mechanicznie naśladować wszystkiego, co obcym przypadło do gustu. Mikołaj Rej napisał był przecież: Polacy nie gęsi.

## **Eksplozja inercji**

Trwające u nas od dłuższego czasu niekorzystne dla bibliotek okoliczności, nie dosyć, że nasiliły się w minionym roku wyraźnie, to jeszcze ze wzmożoną intensywnością podziałyły destrukcyjnie na pracującą w bibliotekach zawodową społeczność. Ujawniło się to w całkowitej bierności: w kompletnej inercji postaw i zachowań. Nikt nic nie mówi o tym, ani nie pisze, a przy ewentualnych spotkaniach (konferencyjnych i nie) wszyscy uśmiechają się do siebie radośnie, jakby byli w rajku. To chyba jedyna i (na razie jeszcze) szerzej rozpoznawalna profesja, która w ogóle nie zareagowała na rujnację podstaw swojego istnienia. W obliczu gilotyny wszyscy zachowują się jak u fryzjera.

W bibliotecznej samoobronie publicznie padło nie więcej niż pięć głosów, z zerowym wobec tego rezonansem społecznym. No i nic dziwnego, że z kolei obronnych wypowiedzi **zewnętrznych** nie było w ogóle. Wypowiedzi! Co tu wobec tego mówić o **przeciwdziałaniach** lub o przedsięwzięciach, choćby próbujących zapobiegać destrukcji. Nie bronisz się sam, to nie licz na wsparcie. Milczenie, które nie jest złotem, zespawane z bierną rezygnacją, wygląda ostatnio na jedyny spójny ślad naszej profesji. Czyżby nieodwracalnie już eksplozja?

W przeszłości miodów nie było, ale nigdy nie wyglądało to aż tak fatalnie. Bywały niekiedy bibliotekarskie dokonania kreatywne – po wojnie wszak prawie od zera, zaś utworzone później sieci nie narodziły się za sprawą krasnoludków – a i odgryźć się skutecznie wielu bibliotekarzy umiało. Tymczasem ostatnio, przez cały miniony rok, mimo nagromadzenia destrukcyjnych wobec bibliotek faktów i

---

<sup>1</sup> ŻBIKOWSKA-MIGOŃ, A. SKALSKA-ZLAT, M. *Encyklopedia książki*. T. 1 i 2. Wrocław: Wydaw. Uniwersytetu Wrocławskiego, 2017. ISBN 978-83-229-3543-9.

<sup>2</sup> JAZDON, A. *Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu 1919–2018. Zasoby. Działania. Ludzie*. Poznań: Biblioteka Uniwersytecka, 2019. ISBN 978-83-60961-20-9.

decyzji, nie pojawił się żaden zbiorowy, a choćby nawet kilkusobowy gest Kozakiewicza. Przyjęto biernie, że jest jak jest i może być tylko gorzej? Trudno nie zakładać.

Z kilku bibliotekarskich stowarzyszeń zareagowała tylko jedna organizacja, właściwie ćwierćbibliotekarska, bo bibliotekarzy jest tam, co kot napłakał. To mianowicie Federacja Związków Zawodowych Pracowników Kultury i Sztuki. Wszystkim innym odjęto mowę, zaćmiło wzrok i popsuty się komputery. Okazało się dowodnie, że to są zrzeszenia dekoracyjne oraz oboczne: egzystują sobie **obok**.

W zdesperowanej irytacji oraz w zirytowanej desperacji kilka osób zgłosiło pomysł powołania jeszcze jednego, całkowicie nowego stowarzyszenia. Tym razem – tylko bibliotekarzy akademickich. No bo akurat ta kategoria oberwała w ubiegłym roku szczególnie. Chociaż nie wyłącznie. Intencje oraz przesłanki można zrozumieć, ale akceptować – chyba jednak nie. Dlaczego mianowicie osoby przypisane wcześniej do innych, całkowicie biernych zrzeszeń, miałyby – nie tam i wtedy, ale tutaj i teraz – nagle wykrzesać z siebie megatony energii i aktywności? To całkowita iluzja. Zwłaszcza, że zanim nowa organizacja ewentualnie dotrze do szansy działania (jakiego?), upłyną lata świetlne i okołobiblioteczny świat stanie się tymczasem jeszcze mniej wobec bibliotek spolegliwy.

Trzeba więc powiedzieć sobie brutalnie, że zawodową świadomość rozwodniliśmy w bezproduktywnym paplaniu, a profesjonalny honor wpadł nam do kanału. Nie ma już czegoś takiego, jak międzybibliotekarska więź ani poczucie współzystencji: wzajemne relacje zamazały się prawie bez śladu. Każdy sam sobie bibliorzepkę skrobie. W minionym roku było to widać wyraźniej niż w latach ubiegłych, a na rok kolejny nic poprawy nie zapowiada. To wygląda jak niedobry sen, lecz jednak snem nie jest.

## Ocknięcia

Są wprawdzie ocknięcia z tego ponurego niby snu. Pojedyncze przebudzenia, z nastawieniem ku aktywności efektywnej i mądrej. Oraz przebłyski, wręcz nieprawdopodobnie imponujące. Ale to są tylko autonomiczne segmenty, korzystne przedsięwzięcia **fragmentaryczne**. Niestety, pejzażu naszego bibliotekarstwa jako **całości** nie są w stanie zmienić.

Otóż w bibliotekarstwie na całym świecie, i w Polsce (na szczęście) częściowo też, ma miejsce powrót do intensywnych relacji **bezpośrednich** z użytkownikami. Z odkrywaniem na nowo oraz z obmyśleniem stosownych prawidłowości i skutków. Następują wzmożone próby wykorzystania wszystkich zalet, przy redukcji niedostatków, tej formy realizacji usług bibliotecznych oraz oferty ponadusługowej. To, rzecz jasna, nie przeszkadza w realizacji innych usług, także zdalnych.

W tym bezpośrednim wariacie, obok albo równoległe do udostępniania na miejscu, względnie na wynos, a także informowania, szczególną wartość mają kontakty publiczności z bibliotekarzami oraz pomiędzy sobą. Twarzą w twarz, ucho w ucho, a nie smartfonem w smartfon ani ekranem w ekran. Już to obok usług udostępniania oraz informowania lub innych, albo w naddaniu, bądź jako całkowicie od nich niezależna, odrębna wersja bibliotecznego oddziaływania, znana dawniej pod nazwą **pracy z użytkownikiem**.

Z tym, że obecnie jest to bardzo często zupełnie nowa inicjatywa proponowana publiczności rozmaitych okazji i zachęt do zbiorowego **współdziałania**, najczęściej (choć nie tylko) środowiskowego. To bardzo ważna oferta w skali ogólnospołecznej! Oto bowiem nagle, w społeczności przesmartfonizowanej, bezpośrednie relacje międzyludzkie napotykać na dramatyczne utrudnienia.

No i właśnie biblioteki (jak mało które instytucje inne) podjęły zadanie umożliwiania i aranżowania kontaktów zbiorowych – nie porzucając przy tym powinności głównych, czyli pośrednictwa w społecznej komunikacji w ogóle. Temu programowi przypisano nawet nazwę kreowania **trzecich miejsc**, właśnie dla wzajemnego integrowania się. Tyle, że jak zwykle, to nowe określenie uległo sloganizacji. Ale przedsięwzięcia: niekoniecznie.

W sumie więc sporo bibliotek wzbogaciło swoje programy o takie właśnie oferty bezpośrednie, i na całe szczęście tu i ówdzie ma to miejsce również w Polsce. Głównie w bibliotekach publicznych – zresztą nie wszystkich, bo przeważnie w małomiejских i w niektórych gminnych – ale także w pojedynczych bibliotekach pedagogicznych oraz nawet (choć to rzadkość) akademickich.

To znaczy, że nie wszystkim bibliotekarzom opadły ręce. Są wciąż w tym zawodzie osoby oraz grupy osób, które proponują publiczności poszerzone i wielosemiotyczne oferty programowe i usługowe, tym sposobem tworząc również sobie lepsze prognozy na przyszłość. Ale żeby nikomu nie przewróciło się w głowie, dopowiem że taką nowatorską aktywność przejawia nie więcej niż 10–15% ogółu naszych bibliotek.

Przodują w tym zwłaszcza publiczne biblioteki w małych oraz w średnich miastach, a także – ale już tylko niektóre – biblioteki wielkomiejские. Wśród innych jest to praktyka nieczęsta. W ogólnobibliotecznej masie dominuje inercja oraz czekanie na cudowne zrządzenie losu.

Odnoszę wrażenie, że obecnie – tak jak wiele lat temu – na wagę złota byłby nam uwspółcześniony **Józef Grycz**. Ale nikogo takiego nie widać.

Wszelako jedna zdumiewająca a wysokiej klasy niezwykłość zdarzyła się przecież w tym naszym półmrocznym bibliotekarstwie naprawdę. I trwa – nie zniknęła. Mam na myśli ogólnopolską bibliotekę cyfrową **Polona**, której kolejny etap tworzenia i funkcjonowania sfinalizował się był po trzech latach, właśnie w Roku Dzika. Wsparty sumą ok. 100 milionów złotych w ramach projektu **Patrimonium**, ze środków głównie Funduszy Europejskich, ale przy znaczącej dopłacie naszego resortu kultury. W tej zdigitalizowanej kolekcji, ogólnodostępnej przez sieć, znalazło się już 3 miliony bibliotecznych materiałów i codziennie przybywa 2 tysiące jednostek.

Realizacja **Polony** obejmuje cyfryzację i wprowadzenie do sieci oraz rozpowszechnianie wybranych zasobów bibliotecznych, a także opracowanie i katalogowanie, czasami zaś jeszcze konserwację i odnowienie (efekty bywają zdumiewające!) tych oryginałów, które tego wymagają. Wykonawstwem zajmują się dwie nasze główne biblioteki, mianowicie **Biblioteka Narodowa** (jak wiadomo: z resortu kultury oraz z Warszawy) i **Biblioteka Jagiellońska** (jak również wiadomo: z resortu nauki oraz z Krakowa). Jak widać, jeżeli ma się pomysł i chęci, to dla produktywnej współpracy można przełamać bariery międzyresortowe, a nawet zadawnione galicyjsko-kongresówkowe anse. Tyle że trzeba się wściekle sprężyć i tym razem tak było oraz nadal jest. Obaj dyrektorzy (dr Tomasz Makowski

i prof. zw. dr hab. Zdzisław Pietrzyk) chcieli, umieli skorzystać z szansy, przełamując liczne przeszkody i jeszcze potrafili zarazić entuzjazmem swoich współpracowników. Rezultat jest imponujący, i to w skali europejskiej, a przecież nadal rozwojowy.

Ale uwaga: to jest formuła **specjalna!!** W tym trybie nie można wprowadzić do sieci wszystkich **bieżących** materiałów komunikacyjnych i takich głupot **nie wolno** pleść. Już choćby z tytułu globalnej ochrony praw autorskich karencja trwa 50–70 lat. A inną, moim zdaniem jeszcze ważniejszą, przeszkodę stanowią odmienne okoliczności i skutki odbioru semiotycznie różnych zasobów – o czym jeszcze kilka zdań później.

Tak więc **Polona**, przy całej swojej doniosłości dla **retrospektywnych** przedsięwzięć naukowych oraz poznawczych i ogólnokulturalnych, a także dla archiwizacji wstecznej, nie zmienia ogólnego obrazu bieżącego naszego bibliotekarstwa **powszechnego**. To jest inny obszar funkcjonowania.

## Mit wszechinformacji

Bibliokłopoty (nie tylko) rodzime nie narodziły się oczywiście dopiero i nagle w minionym roku. Genealogicznie mają historię dłuższą: wieloprzyczynową, więc także obfitą w skutki różnorakie. Rok Dziaka tylko je ewentualnie nasilił i uwypuklił, zatem w bieżącym sezonie nowym też zapewne dadzą o sobie znać.

Obok uwarunkowań zewnętrznych, okołobibliotecznych oraz praktycznych powodów wewnątrzrodzowych daje nam popalić koncepcyjna mizéria i nietrafione lub całkowicie błędne założenia teoretyczne. Przy absencji innych: które byłyby trafne i naprawdę użyteczne. Nawet symboliczna zmiana polskiego określenia dyscypliny **bibliotekoznawstwo** na **bibliologię** okazała się pomysłem wyjątkowo kiepskim i w skutkach niekorzystnym, a w każdym razie bezproduktywnym.

Wśród różnych koncepcyjnych potknięć i błędów, które przyczepiły się do nas jak smród do dworcowych wychodków, osobiście eksponuję dwie toksyczne idee. Nie więcej – to ewentualnie w innym miejscu – ale wystarczy za wprowadzenie do refleksyjnej dyskusji. Zresztą, poza wszystkim, to tylko **moja** opinia. Którą mogę uzasadnić dobrze lub lepiej, ale nie upieram się co do trafności wyłącznej.

Otóż uważam, że skrajnie toksyczna dla bibliotekarstwa oraz dla bibliotekoznawstwa okazała się idea **paninformacjonizmu**, czyli uznawania wszystkiego w międzyludzkiem świecie realnym, a zwłaszcza komunikacyjnym, za **informację**. Neuronauka może nazywać informacją każdy impuls w mózgu, ale to nie znaczy, że w bibliotekach mamy każdemu wykonywać trepanację czaszki?!

Równie dramatyczne w skutkach jest powszechne, wręcz pandemiczne przeświadczenie, że **każda** forma komunikacji, zatem również informacyjnej, przebiega oraz skutkuje **tak samo**, toteż może w stu procentach zastępować i wyręczać inne – jak choćby digitalna piśmienniczą. To są już utrwalone i powszechne, podświadome stereotypy, prowadzące na manowce, a wyjątkowo trudne do przełamania. Ale ktoś to musi zrobić.

Ten jeden z dwóch podstawowych, zasygnalizowanych kłopotów bibliotekarstwa oraz konkretnie pośrednictwa w informacji, ma swoje źródło w (już tu wspomnianej) wieloznaczności homonimicznego terminu **informacja**, pojmowanego na wiele różnych sposobów. Jednak do bibliotekarstwa

zostało przywleczone przez informatologów tylko w jednym, powszechnym, ale mylącym znaczeniu **danych**. To jest od siekiery! Dane to wszak ogół tego, więc **wszystko**, co może być przetworzone przez umysł bądź komputerowo. Zatem miliardy razy wykraczają ponad to, co da się umieścić w **praktycznym** pojmowaniu informacji – jako sygnalizacji jednodesygnacyjnie rozumianych znaczeń treściowych.

No i z tego wzięło się nieprawdopodobne zamieszanie, utożsamiające informowanie informacyjne co najmniej z całością komunikowania. Co ważne: przy równoczesnej a powszechnej praktyce wąskiego rozumienia informacyjności. To zaś z kolei spowodowało utożsamienie **całego** bibliotekarstwa **wyłącznie** z transmisją informacji. No i to jest właśnie ten nonsensowny paninformacjonizm, dramatyczny w skutkach zarówno teoretycznych (więc dla bibliotekoznawstwa), jak również praktycznych (dla bibliotekarstwa).

Dopowiem od razu, że w takim tekście jak ten nie da się wniknąć w miliony zróżnicowanych i ważnych a delikatnych szczegółów. To bowiem jest pole dla wielu rozważań, przede wszystkim naukowych, ale i praktycznych też. Dlatego zapewne nie brakuje w tej mojej wypowiedzi uproszczeń, ponieważ zwracam głównie uwagę na ich sens finalny. Ponury.

Otóż w tym bezpośrednim, jednoznacznym i wąskim rozumieniu informacji – powtórzę: używanym powszechnie – nie można uznać jej za jedynej, a choćby nawet za główny wyznacznik całej międzyludzkiej komunikacji. Informowanie jest tylko jej składnikiem: bardzo ważnym, lecz jednak **częściowym**. Nie należy wszak do transmisji informacji muzyka ani literatura piękna – *Zbrodnia i kara* to nie jest instrukcja, jak zabijać staruszki siekierą – ani żaden spektakl teatralny, a nawet opowiadanie dowcipów (że już pominę plotkarstwo). W konsekwencji biblioteka **nie jest** instytucją wyłącznie ani (publiczna) nawet głównie **informacyjną**. No nie jest!!! Mimo że świadczy usługi informacyjne na ogromną skalę. Jest natomiast ośrodkiem kulturalno-komunikacyjnym, ale to coś zupełnie innego.

W czym tkwi problem? W opanowaniu bibliotekarstwa przez gadaninę paninformacyjną, której nie przerwały nawet nasilone praktyki antybiblioteczne. Oraz w hegemonii informatologów w dotychczasowych instytutach oraz katedrach, z nazwy – bibliologicznych. Którzy nie wystąpili w obronie bibliotekarstwa, nawet akademickiego – tylko tu i ówdzie próbując ratować wyłącznie **swoją** działkę. Nawiasem mówiąc, mało skutecznie.

Ta dominacja paninformacjonizmu w uczelnianych ośrodkach kształcenia bibliotekarzy wzięła się z przyczyn trywialnych. Mianowicie nie można edukować bibliotekarzy ani rozwijać myśli bibliotekoznawczej, jeżeli widziało się biblioteki jedynie na fotografiach. Tymczasem łączenie bibliologicznej pracy naukowej oraz dydaktycznej z bibliotekarską praktyką, w warunkach naszych uczelni – inaczej niż na studiach medycznych albo inżynierskich – jest tak wściekle trudne, że wytrzymuje to mało kto. Akurat coś na ten temat wiem.

Dlatego nastąpił przechył informatologiczny, bo związków z praktyką nie wymaga. Ale wobec tego czysto biblioteczny koncepcjonizm, w warunkach rodzimych, niemal całkowicie diabli wzięli. Zadam niemądre pytanie: kiedy to ostatnio **tytułu** profesora (belwederskiego) dopracował się jakkolwiek – w ścisłym znaczeniu – bibliotekoznawca (bibliolog)? No i taka sytuacja trochę tłumaczy bierność okołobibliotecznych środowisk naukowych wobec likwidacyjnych dolegliwości naszego bibliotekarstwa. Tym bardziej, że i sami bibliotekarze też nie reagują...



## Pułapka wielokomunikacyjności

Drugi z zasygnalizowanych tu, fundamentalnych dla bibliotekarstwa, kłopotów przyczynowo-skutkowych ma niestety charakter ogólny, powszechny. Jest nim przeświadczenie, podzielane przez prawie wszystkich, że każda forma komunikacyjna funkcjonuje identycznie, bez względu na semiotyczne zróżnicowanie. Zatem tak samo nadaje się do wszystkiego. Jedna może z powodzeniem zastępować drugą, trzecią i dziesiątą, bez najmniejszej odmienności. Nie liczy się ani strukturalna konstrukcja, ani inny język oraz mechanizm semiotyczny, ani technika transmisji, ani – co najważniejsze – szczególnie psychofizjologia odbioru.

Prawie nikt o tym nie myśli, nie mówi, nie pisze. Praktyczna etiologia komunikacji jest w lesie. O zastosowaniu i o hierarchii użytkowania decyduje łatwość dostępu i korzystania oraz możliwie niski koszt. To jest piramidalnie bezsensowne nieporozumienie, pomyłka pomyłek, ale w epoce smartfonizacji właściwie powszechna.

Zagrożenie, dla bibliotekarstwa śmiertelne, przyczaiło się zwłaszcza w przeświadczeniu o funkcjonalnej oraz skutkowej **tożsamości** komunikacji digitalnej i piśmienniczej, a nierzadko nawet werbalnej. Gdyby tak było naprawdę, to w zestawieniu z siecią podażą digitalną treści piśmiennictwo okazałoby się mało przydatne albo wręcz bezużyteczne. A i gadanie uznałby niejeden za przeżytek. Wcale tego nie wymyśliłem. Oto młodzi – ona i on – siedzą obok siebie w kawiarni i równocześnie wklikują się w smartfony. Każde w swój. Kto tego nie zauważył, niech idzie do okulisty.

Gdyby komunikacyjne zrównanie, z pełną tożsamością wzajemną różnych języków (systemów semiotycznych), było zgodne z prawdą, to prognoza dla bibliotek musiałaby ukształtować się zerowo. Lecz w rzeczywistości wcale tak nie jest. Niezależnie od tego, co różni mówią, opowiadają, plotą i bajdurzą. Różni – bo to jest odniesienie do **świadomości** ogólnej. Lecz jeszcze bardziej szokuje, że do bibliotekarskiej, bibliotekoznawczej oraz informatologicznej także. Mimo że to jest przecież dla nas sygnał drogi donikąd.

Nieodparte wrażenie jest takie, że nikogo to nie interesuje, nie przeraża, nie zmusza do zastanowienia i do pogłębionej analizy. W całym naszym piśmiennictwie biblio-info nie ma na ten temat żadnej wzmianki, żadnej profesjonalnej refleksji, a i naukowej (prawie) też nie. Tak, jakbyśmy żyli w biblioraju. Jakieś blabla, jakieś bleble i wszyscy udają, że klawo jest. Lub nawet tak myślą, a to już horror.

W rzeczywistości różne formy komunikacji mają odmienne cechy i zróżnicowany charakter, nadają się więc do odrębnych, a w każdym razie do zróżnicowanych celów transmisyjnych oraz podlegają innym regułom interpretacyjnym. Natomiast funkcjonują równolegle, we wzajemnej koegzystencji, a nieraz także we wzajemnym dopełnieniu. No i tak muszą być traktowane oraz stosowane. Również w praktyce bibliotecznego pośrednictwa.

Mogę napisać oraz powiedzieć to samo, a także to samo wyklikać, a jednak w odbiorze to wcale nie musi być to samo. Nie mówiąc już o różnicy pomiędzy intencją nadawcy a wyinterpretowanym desygnatem odbiorcy. Czy ktoś w bibliotekoznawstwie (przepraszam – poza mną), już nie mówiąc o informatologii, w ogóle zwrócił na to uwagę?

Psychologowie amerykańscy<sup>3</sup> ujawniają, że szybki odbiór przekazów (więc z sieci) uruchamia wyłącznie **roboczą** pamięć podręczną, więc bierną; to rodzaj zaplecza dla zachowań mechanicznych, mało świadomych. Natomiast dla aktywizacji myślenia krytycznego potrzebne jest wsparcie pamięci **długotrwałej**, do której trafiają tylko treści przetworzone, zatem wyłącznie w trybie dłużej trwającego odbioru: głównie przez czytanie z druku (nie z ekranu). Obie te formy komunikacji, tak jak jeszcze inne, są oczywiście konieczne, ale **obok** siebie. Nie zaś jedna **zamiast** drugiej (trzeciej, czwartej...). I tego trzeba się trzymać jak liny na skale. Jakkolwiek, po prawdzie, kto to czytuje sugestie amerykańskich psychologów? Oprócz psychologów amerykańskich, rzecz jasna.

Nie da się zdigitalizować wszystkiego, ani nawet **całej** społecznej komunikacji. Co więcej – nie wolno! Chyba że ktoś będzie chciał sprowadzić świat z powrotem do trzeciorzędu. I nic to, że akurat ucyfrowionego.

Powtórzę: to nie jest miejsce ani okoliczność na rozbudowaną i pogłębioną argumentację. To jedynie uproszczony sygnał. I w tej konwencji odwołam się do tego, co widać gołym okiem. Chociaż to zabieg nieco zapewne trywialny.

Otóż kiedy uczestnicy takich telekonkursów, jak „Milionerzy” lub „Jeden z dziesięciu” trafiają na pytanie z obszaru swoich zainteresowań, więc podbudowanego **lekturami** i stosownym **oczytaniem**, potrafią zaimponować rozumowaniem i wiedzą. Przewracają się natomiast, nierzadko kompromitując, w zetknięciu z tematyką rozpoznaną przez nich tylko medialnie, zatem powierzchownie: płytko, częściowo i nietrwale. To trafnie ilustruje odmienną stosowalność i efektywność różnych wariantów komunikowania.

Nie wszystko trzeba wiedzieć dogłębnie oraz całościowo. Często wystarczą fragmentaryczne, uproszczone i powierzchowne sygnały z komunikatów cyfrowych lub audiowizualnych. Ale są jednak również takie obszary świadomości, które wymagają pogłębionego opanowania treści oraz kreatywności w jej przetwarzaniu. Otóż właśnie do tego niezbędne jest czytanie materiałów drukowanych.

Biblioteki mają służyć jednej i drugiej (oraz jeszcze innym) formie komunikowania. Nie zamiast, lecz (powtórzę) obok, równolegle – we wzajemnym uzupełnieniu, jeżeli trzeba. Z ewentualnym podpowiedzeniem, co do czego najlepiej służy, kiedy oraz jak. To **my mamy** wiedzieć obowiązkowo. No i musimy w dodatku przełamywać obiegowe przeświadczenia ogólne. Także w kontaktach z tymi osobami, które bez smartfonu nie pójną nawet do wychodka.

Tymczasem obawiam się, że w naszym obecnym bibliotekarstwie świadomość takich powinności nie istnieje. To fatalnie.

---

<sup>3</sup> Np. KAUFMAN, A.S., SCHNEIDER, W.J., KAUFMAN, J.C. Psychometric approaches to intelligence. W: *Human intelligence. An introduction*. Cambridge: Cambridge University Press, 2020, s. 89–90.

## Otoczenie minus

Ale jest coś jeszcze. Bibliotekarstwo nie istnieje wszak samo dla siebie ani tylko po to, żeby egzystowały miejsca pracy dla bibliotekarzy. Cały ten kram biblioteczny funkcjonuje przecież dla pożytku **społecznego**, z publicznej potrzeby, w ogólnoludzkim interesie. I nie jest to pusty slogan, skoro nawet w Polsce korzystają z bibliotek miliony użytkowników. W końcu nikt ich tam siłą nie zapędza.

Kiedy jednak przychodzi do skasowania konkretnej biblioteki, na ogół nikt z korzystających nie protestuje. Czy kiedykolwiek jakiś profesor wystąpił z sugestią uratowania likwidowanej biblioteki wydziałowej lub instytutowej? Kroniki uniwersyteckie na ten temat milczą. Na wywiadówkach rodzice nie chcą słyszeć o kłopotach szkolnych bibliotek, a po zgilotynowanych bibliotekach pedagogicznych nie zapłakał ani jeden nauczyciel. Skoro zaś bibliotek publicznych padło ponad tysiąc, to poszkodowaną (?) publiczność trzeba liczyć w setkach tysięcy. Ale oporów nie sygnalizował nikt. Także żadna rada miasta lub gminy, żaden sejmik ani rada szkoły, żaden uczelniany senat bądź rada wydziału. To jest właśnie otoczenie minus.

A przecież ludzie potrafią protestować. Kiedy sąsiedni kiosk z piwem jest czynny zbyt długo. Jeżeli wytnie się w okolicy dwie stare wierzby. Lub zlikwiduje cztery ogólnodostępne miejsca parkingowe. Natomiast biblioprotestów, biblioawantur, a nawet bibliopetycji nie ma.

Trudno powiedzieć: z braku zapotrzebowania, z braku informacji lub z niedostatku odwagi albo z niewiary w skuteczność. Być może te oraz inne przyczyny sumują się razem. A na to nakłada się jeszcze wyzerowane przez smartfonizację poczucie wspólnoty (lokalnej, środowiskowej, instytucjonalnej), co tym bardziej nie sprzyja spontanicznym wystąpieniom zbiorowym. Przy postępującej automatyzacji wszystkiego, co się rusza i co się nie rusza, będzie z tym zresztą jeszcze gorzej.

Żeby oprócz wzajemnego klikania pojawiło się między ludźmi coś jeszcze, trzeba czegoś więcej niż sama transmisja gołej informacji. Mianowicie wystąpienia emocji. Tymczasem biblioteki do niczego takiego nie skłaniają – w szczególności w trybie usług zdalnych.

Sami zaś, bez użytkowniczego wsparcia, nie damy sobie rady. Głosu bibliotekarzy nikt słuchać nie chce, zwłaszcza jeżeli go nie ma. Wspierająca kuratela ze strony publiczności, o ile zmasowana i mądra, byłaby narzędziem obronnym zupełnie innego kalibru. Ewentualnie mitygującym zapędy bibliolikwidacyjne.

Dlatego ziaren optymizmu widać mniej niż mało. Być może potrzebny jest nam silny zawodowy **wstrząs**? Już nie w Roku Dzika, który właśnie uciekł był. Ale dla Chińczyków bieżący rok jest Rokiem Szczura. Ponoć szczególnie pomyślny dla **nowych** inicjatyw i przedsięwzięć. Nikt nikomu nie broni być Chińczykiem. Zwłaszcza jeśli może to mieć sens...

**Bibliografia:**

1. JAZDON, A. *Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu 1919–2018. Zasoby. Działania. Ludzie*. Poznań: Biblioteka Uniwersytecka, 2019. ISBN 978-83-60961-20-9.
2. KAUFMAN, A.S., SCHNEIDER, W.J., KAUFMAN, J.C. Psychometric approaches to intelligence. W: *Human intelligence. An introduction*. Cambridge: Cambridge University Press, 2020, s. 89–90.
3. ŻBIKOWSKA-MIGOŃ, A. SKALSKA-ZLAT, M. *Encyklopedia książki*. T. 1 i 2. Wrocław: Wydaw. Uniwersytetu Wrocławskiego, 2017. ISBN 978-83-229-3543-9.